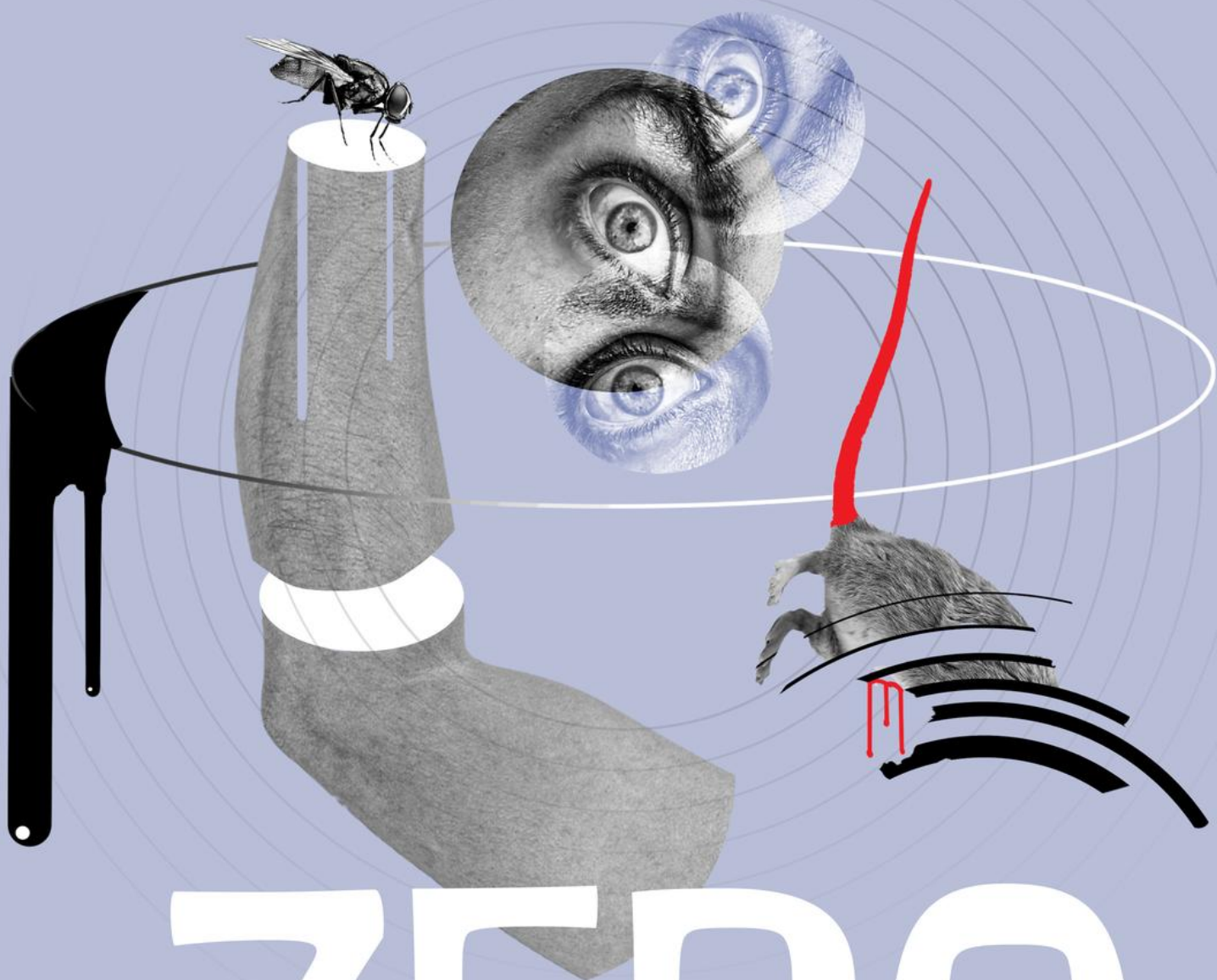


# KATHE KOJA



# ZERO

# KATHE KOJA



# ZERO

 SAGA  
EGMONT

Kathe Koja

# Zero

Tłumaczenie Robert Lipski

Saga

*Zero*

Tłumaczenie Robert Lipski

Tytuł oryginału *The Cipher*

Język oryginału angielski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 2000, 2022 Kathe Koja i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728352984

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

*Chciałabym podziękować  
Rickowi Liederowi, Russowi Galenowi  
i Jeanne Cavelos  
za ich pomoc*

*Jednego pragnę  
być balsamem  
na ranę  
rozpuszczonym  
twoją śliną*

— Shikatsube No Magao

*Świadomość czy podświadomość  
w realnym świecie to bez znaczenia*

— Rick Lieder

# 1

Nakota dostrzegła to pierwsza: długie, chude nogi podkulone pod brzydką spódnicą, szerokie usta wykrzywione w dziwnym nie-uśmiechu. Siedzi w moim paskudnym mieszkaniu na drugim piętrze, skulona na tanim, szpetnym sklepowym krześle, przez okno za jej plecami wpływają promienie słońca, nieśmiałe i szare jak brudne futro, ożywiają ją, przydając osobliwej, roziskrzonej aury. Wokół nas szczątki niedawnej dyskusji, pogniecione puszki po piwie i skradziona z knajpy popielniczka, z której wysypuje się góra petów.

— Słyszałeś o czarnych dziurach? — zapytała. — Wiesz, tych w kosmosie? Wielkie, czarne odbyty — i wybuchnęła śmiechem, ukazując małe ząbki, ostre jak u lisa, ani białe, ani żółtawe, jak u większości ludzi, lecz sinawe, jakby zżerała je od środka jakaś bliżej nieokreślona zaraza. Nakota zgnije inaczej niż reszta ludzi; sama zresztą tak o sobie mówi.

Zapaliła papierosa. Była jedyną z moich przyjaciółek, która wciąż paliła; robiła to nie w wyzywający ani przesadnie teatralny sposób, paliła podobnie jak oddychała, choć nie tak często. Czarne papierosy i oranżada.

— To jak? Dotkniesz jej dzisiaj?

— Nie.

Kolejny dziwny nie-uśmiech.

— Tchórz.

— Wcale nie — odparłem.

— Tchórz pospolity.

Nie powiedziałem nic więcej. Wróciłem do kuchni. Wziąłem sobie mineralkę. Piwo było zbyt mocno schłodzone, picie go sprawiało ból. Kiedy wróciłem do salonu, a raczej tego, co mogło zań uchodzić — wielkie okna, nieduża przestrzeń, tapczan i nędzne krzesło — uśmiechnęła się do mnie, tym razem prawdziwie i szczerze.

Czasami wydawało mi się, że byłem jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek dostrzegał jej piękno, który kiedykolwiek je dostrzegł. Bóg mi świadkiem, nie było to łatwe, ale wychwytywałem każdy najdrobniejszy szczegół.

— Przyjrzyjmy się jej — powiedziała.

Nie próbowałem oponować. Cicho — nauczyliśmy się robić to w ciszy — w dół po schodach, na pierwszym podeście w prawo (pierwsze piętro) obok nowego graffiti głoszącego, że „LEESA TO KÓRWA” (naturalnie bez numeru telefonu, dzięki i za to, tandeciarze) i mnóstwa innych blednących wraz z upływem czasu wymyślnych napisów, aż do końca korytarzyka, gdzie znajdowało się coś, co mogło pełnić funkcję składziku. Butelki detergentów, narzędzia, cała masa najróżniejszego szajsu, oto co widać po otwarciu drzwi, a nieco dalej to miejsce, ta przestrzeń. Powłoka kurzu wokół niej wydaje się bledsza i łatwiejsza do rozproszenia.

Oto Nibydziura.

— Cholera — rzekła Nakota, jak zawsze ze zdumieniem i przejęciem.

Uklęła bliżej niż ja kiedykolwiek, pochyliła się nisko i oparła na wyprostowanych rękach, wpatrując się w dziurę, patrząc w głąb niej. Wydawało się, że mogła tak klęczeć cały dzień mimo bolesnej pozycji, ona jednak w ogóle nie czuła bólu, tylko gapiła się i gapiła bez końca. Zająłem miejsce nieco z tyłu za nią, po lewej,

pograżony w pełnej uniesienia ciszy. Cóż tu mówić w obliczu niewypowiedzianego?

Czerń, nie ciemność ani brak światła, ale żyjąca czerń. Stopa, może trochę więcej średnicy. Czysta czerń i wrażenie pulsowania, zwłaszcza gdy wpatrywałeś się w nią długo i zawzięcie, uczucie nie tyle czegoś żyjącego, ale żywego, ba, nawet nie czegoś, lecz raczej jakiegoś procesu. Królicza nora, jakaś dziwna, popierdolona kraina czarów. Znajdź teraz dziewczynkę imieniem Alicja, obwiąż ją sznurkiem i... Już o tym rozmawialiśmy i będziemy rozmawiać znowu, zapewne jeszcze dzisiejszego wieczoru. Nakota usiądzie w typowy dla siebie sposób, z wyprostowanymi plecami, niczym kapłanka, a ja zabiorę się do tworzenia, będę pisać wiersze, tandetny szajs, nie nadający się do czytania następnego dnia rano, gdy się obudzę, raczej później, po południu, Nakoty już nie będzie, pójdzie do pracy, do Klubu 22, barmanka bez uśmiechu, a ja, jak zwykle spóźniony, do salonu wideo. Może nie pojawić się przez jeden, a równie dobrze przez parę kolejnych dni, kto wie; któregoś dnia odejdzie i już nigdy nie wróci. Wiedziałem, przyjaciele, o tak, że w rzeczywistości tym, czego pragnęła, była Nibydziura. Jeśli jesteś w tym dobry, możesz być czegoś pewien i równie dobrze nigdy o tym nie myśleć. Jeżeli o mnie chodzi, starałem się przez dłuższy czas tego unikać i teraz myślenie wprost stanowi dla mnie nie lada trudność.

Jej szept obok mnie: — Spójrz na nią.

Czasami wydawało mi się, że to coś, owo antymiejsce, wydzielało pewien odór; nawet sobie na ten temat żartowaliśmy, choćby w kwestii samej nazwy, na pewno domyślacie się, o co mi chodzi. A jednak wyczuwało się tu pewną woń, nie tyle przykrą, co niemożliwą do określenia czy zidentyfikowania, a jednak wyraźną. Rozpoznałbym ją zawsze, nawet o północy, o tak, i do tego



z drugiego końca ulicy. Czegoś równie dziwnego nie sposób zapamiętać.

Po raz milionowy: — Czy nie byłoby wdechowo zejść TAM na dół?

I moja równie sztampowa odpowiedź: — Jasne. Ale tego nie zrobimy.

Jej krawędzie były pionowe, ostre i gładkie. Aż się prosiły, by ich dotknąć. Ale nic z tego, odpowiadał niezmiennie tkwiący we mnie tchórz. Ja tego nie zrobię. Mowy nie ma. Woń narastająca i unosząca się wokół mnie, czasami tak było, Nakota twierdziła, że nieomal była w stanie dotknąć tej woni, tam gdzie opary były najgęstsze (to jednak o niczym nie świadczyło, Nakota była uzależniona od kropli do nosa, nie poczułaby nawet smrodu własnego gówna, które zresztą, jej zdaniem, w ogóle nie cuchnęło), unosiły się jak mgła, ale któż wiedział jakie płyny, jaka wilgoć je zrodziła? Wilgotny środek? Jądro? Co było tam, w środku? Coś żywego? Kto wie? Nakota uważała że tak, ale ja sądziłem, że źródłem tej wilgoci była sama Nibydzura, niezgłębiona czerń, i to ona właśnie wydzielala ten wodnisty, mocny zapach.

Jak długo dziś? Godzinę? Dwadzieścia minut? Nie sposób tego stwierdzić, dopóki nie wrócimy do mego mieszkania i nie spojrzymy na zegarek; już czas. Pora wracać. Podnosi się z wahaniem, jej włosy w pylistym półmroku są czarne jak Nibydzura, krótkie kosmyki przesłaniające wydatne, ostre kości policzkowe, ugięte łokcie, kiedy usiadła prosto, a potem wstała, moje kolana wydały głośny trzask, oboje wzdrygnęliśmy się, po czym z westchnieniem i uśmiechem wyszliśmy z pomieszczenia.

W górę, po schodach, przez korytarz.

— Wejdiesz?

— Nie. — Staje pod drzwiami, kręci głową.

— Masz fajki?

Poklepała się po kieszeni spódnicy, lubiła te brzydkie, beznadziejne spódnice z przeceny, *à la* lata 50-te, z haftowanymi pudłami wyglądającymi jak koszmarne gargulce, zębate gadziny godne najohydniejszych podrabianych kimon dla turystów. To i podkoszulki z logo kompletnie mi nieznanymi zespołami muzycznymi. Boże. Wyglądała zwykle jak kupa szmat pozostawionych przez kogoś dla Armii Zbawienia. Albo jak bezdomna, nosząca to co znajdzie na śmietniku.

— A krople do nosa? Wiesz, czasami powinieneś ugryźć się w język — poradziłem sam sobie, lecz nie dość szybko, by nie usłyszeć jej ciętej riposty.

— Moja matka nie żyje, dziękuję, teraz sama dbam o siebie. — I pełne powagi spojrzenie, z wolna nabierające życzliwości. — To na razie — rzuciła, ściskając mnie za łokieć, to jej forma pożegnalnego gestu — po czym odeszła pełnym gracji krokiem, ze spódnicą o barwie rzygowin kołyszącą się na jej wąskich biodrach. Co, rozczarowany? Kto, ja?

Dobrze znałem te biodra, o tak, czułem bolesne ukłucia tych ostrych, sterczących kości, jej kościstych pleców i małych, jakże małych cycków, kiedyś porównałem je do piłeczek pingpongowych, a ona, mimo że się wściekła, wybuchnęła śmiechem, nic nie mogła na to poradzić, uwielbiała moje żarty. Ostatni raz, kiedy się kochaliśmy, chyba całe lata temu, zrobiliśmy to, bo byłem na gazie i bardzo się na nią napaliłem, było kiepsko, ale czy na pewno źle? Chyba tak, bo mniej więcej w połowie stosunku i wewnątrz niej zrozumiałem ze zgrozą, że ona stara się być dla mnie MIŁA. To tak zbiło mnie z tropu, iż wysunąłem się i spełzłem z niej, po czym poczłapałem do łazienki, by usiąść skulony przy muszli klozetowej, wśród mokrych i brudnych ręczników na mokrej i brudnej podłodze, kręcąc głową. Zjawiała się, naga i chuda jak patyk,

stanęła w słabym świetle płynącym z łazienki, obserwując mnie, jakby nigdy wcześniej nie widziała targanego mdłościami faceta. Chyba to jej uśmiech od ucha do ucha i błysk zębów sprawiły, że w końcu puściłem pawia.

Mimo wszystko, mimo tego zimnego uśmiechu, nadal jej pragnąłem. Zawsze i wciąż, w ten osobliwy, marzycielski sposób, w jaki chce się czasem zanurzyć w otchłań Rowu Mariańskiego albo odbyć spacer w przestrzeni kosmicznej. Wiesz, że to się nigdy nie ziści, ale zawsze można pomarzyć. Jak dumanie nad Nibydzurą i o niej, choć nie do końca. Dawno temu dała mi do zrozumienia, że te dni należą już do przeszłości, zaleczyła ranę mojej miłości, czy jak to tam zwał, może to i głupie, ale mimo wszystko boli, cóż, taki już jestem, niepoprawny romantyk, rzecz jasna na swój chory, smętny sposób. Rozumiem sygnały, które mi wysyła, ale nie potrafię z tym żyć.

Znalazłszy się w mieszkaniu, pozamykałem okna, które wcześniej otworzyłem, by pozbyć się smrodu dymu z jej papierosów, zostawiając uchylone tylko jedno, przy łóżku. Zawsze lubiłem nocny chłód, zwłaszcza w dzieciństwie, choć mówiono mi, że to szkodzi zdrowiu. „Zamknij to okno! Nabawisz się zapalenia płuc!” Dziś jest dość chłodno, głupia Nakota, nie ma kurtki. Zobaczysz, dostaniesz zapalenia płuc.

Ból głowy wywołany głodem, w lustrze dostrzegam bladą twarz, mam ziemistą cerę. Dobra, co jest do jedzenia. Nie znoszę robienia zakupów, wszystko i tak przemienia się w gówno, jem zatem zwykle niewiele i bez przesadnego entuzjazmu. W lodówce jest niedużo rzeczy i na dodatek niezbyt świeżych, ale jestem zahartowany i potrafię zjeść wszystko, i utrzymać to potem w sobie. Mówię ludziom, że piwo zabija zarazki. Dziś wieczorem mam kanapki z krakersów z masłem orzechowym, masło jest tanie i gęste, o konsystencji łąjna, krakersy kruszą się i łamią.

Ale co ja tu porównuję masło do gówna, przecież nigdy go nie kosztowałem, a w każdym razie nie pamiętam, a takich rzeczy raczej się nie zapomina, nieprawdaż? Co by się stało, gdyby wrzucić do Nibydziury jedzenie?

— Boże, przestań — mruczę na głos, mieląc w ustach tłustą papkę, muszę wyglądać jak menelik w parku — zamknij się, zamknij się, zamknij się, wypij piwko, poczytaj gazetę. Anne Landers, mój chłopak chce przechowywać towar w piwnicy mego domu, mam tylko 11 lat, więc co mi tam. **MIASTO WYKŁADA FUNDUSZE NA NOWĄ OCZYSZCZALNIĘ ŚCIEKÓW.** Wyobraźcie sobie tylko. Otwarto dwa nowe kina, jedno, w którym będą wyświetlać pornosy, i drugie normalne. Nie odwiedzę żadnego, mam dość filmów w pracy. Wypożyczalnia wideo, zastępca kierownika, czym mogę służyć? Przez cały dzień w salonie puszczane są filmy, jeden po drugim, a między nimi reklamy i zapowiedzi, do tego stopnia, że każdy z nas, nawet największy cymbał, zna większość tekstów na pamięć. Raz, w przyływie czarnej rozpacz, próbowałem stopić w mikrofalówce moją firmową plakietkę w kształcie czerwonego pudełka na popcorn; kukurydza, która niemal się zeń wysypuje, jest wielka, krągła jak kobiece piersi, a fragment z błędnie wydrukowanym moim nazwiskiem ma prawie trzy cale szerokości. Nie chciało się stopić, cholerstwo. I nie wiem, co zrobiło z mikrofalówką.

Położyłem się z piwem do łóżka, zabierając również nowy egzemplarz starej powieści *Wise Blood*. Flannery O'Connor, Boże, uwielbiam ją. Umarła przed moim urodzeniem. Mam wszystko, co napisała. Tej nocy z podkulonymi nogami nakrytymi postrzępionym czerwonym kocem nie tyle czytałem, co wyszukiwałem moje ulubione fragmenty, znałem je na pamięć, ale nie chciało mi się recytować ich na głos. Piwo poprawiło mi humor, po trosze czytałem, po trosze myślałem o Nakocie, miałem słabą erekcję,

a chłodny nocny wiatr przyjemnie muskał mój policzek. Czy powietrze bijące z Nibydzury też byłoby chłodne, gdyby przyłożyć do niej twarz? Gdyby pochylić się nad nią, bardzo nisko, zajrzeć w głąb? Czy poczułoby się coś w rodzaju zasysania, delikatnego przyciągania, jak wtedy, gdy ciagniesz w stronę łóżka ukochaną osobę?

— Przestań! — z niepokojem prostuję się na łóżku, mocno wystraszony, no bo w gruncie rzeczy czemu nie? Każdy by się bał. Nie. Nie każdy. Nie Nakota. Ona podeszłaby jak zombi, sennym krokiem do samego skraju, do samej krawędzi, tak delikatnej, rozchylającej się jak czarne wargi do mrocznego pocałunku, aby wciągnąć cię w głąb, wessać cię, tak, ty głupi kutasie, dokąd się wybierasz, gdzie leziesz, durny matole? Cały byłem roztrzęsiony, odłożyłem wszystko, szybko wstałem i włączyłem stereo, głośnie, rytmiczne, hałaśliwe reggae. Nie lubiłem tego kawałka ani w ogóle reggae; czy nie nazywają tego syrenią pieśnią, ponieważ zagłusza wszystko inne?

Piwo. Piwo to lekarstwo na wszystko, może nawet okaże się panaceum na moją przypadłość. Stoję przy lodówce, nie zwracam uwagi na unoszącą się w powietrzu woń chłodni, puszka mrozi mi dłoń, nie chcę tam iść, wchodzić w ten mrok, nie chcę nawet myśleć o zobaczeniu tego, patrzeniu na to, ujrzeniu tego, pij, pij i zaśnij. Tak też uczyniłem.

Obudziłem się z bólem głowy, który, kiedy tylko usiadłem, wywołał w moim żołądku rewolucję, ale przynajmniej nie słyszałem pod czaszką innego głosu poza własnym i cieszyłem się z tego, cieszyłem się jak głupi, kiedy klnąc człapałem pod prysznic, i cieszyłem się, jadąc na czczo do pracy, gdy mijałem nagie jak słupy telegraficzne drzewa oraz szyldy reklamujące usługi i artykuły, których nigdy nie potrzebowałem i nie przypuszczam, bym kiedykolwiek

potrzebował. W kieszeni, zmięte w kulkę jak pornograficzne zdjęcia, kartki ze złym wierszem (wierszami?), które spłodziłem w przyływie przerażenia; nie miałem dość odwagi, by je przeczytać, a wyrzucić się wstydzilem.

Stojąc na czerwonym świetle ośmieliłem się wyjąć jedną z nich i rozwinąłem, pierwsze co ujrzałem, to słowo „nacht”, a obok niego widniał zamaszysty gryzmoł nakreślony tak silnie, że kartka była wygięta na zewnątrz. Albo do wewnątrz. W zależności od tego, ku której skłaniałem się stronie.

\*

Długi, nudny dzień pracy, współpracownicy żartujący w przyływie dobrego humoru, którego nie podzielałem, pogrążony w rozmarzeniu przy kasie, obserwując klientów wężących między rzędami półek z kasetami niczym szczury w labiryncie; dobry szczurek, masz tu fajnego pornoska.

Zacząłem pracę w salonie sieci Video Hut przed kilkoma miesiącami i jako pracownik kompletnie nieasertywny dochrapałem się funkcji zastępcy kierownika. Gówniana płaca, ale to chyba oczywiste, moje potrzeby zawsze były niższe niż moje zarobki. Jako że z pisania poezji nie dało się wyżyć, zmuszony byłem podjąć najmniej ryzykowne w tej sytuacji wyzwanie, aby zapewnić sobie jako taki byt, żyłem niczym karaluch, potrzeby miałem minimalne, nie musiałem nawet mieć pełnej lodówki, bo w sumie co bym z tym wszystkim robił?

Moje mieszkanie: klitka na drugim piętrze, jeden mały pokój i dwa mniejsze, tapczan i byle jakie meble, dobry sprzęt stereo i niemal wspaniałe reprodukcje — głównie Klee'a, Bacona i Boscha, najlepsze z nich wycięte z egzemplarzy „Smithsonian” wziętych za darmo

z biblioteki, gdzie miano je wyrzucić na śmietnik — oraz moje ulubione, czarno-białe zdjęcie Nakoty owiniętej w łachmany niczym w całun i wstającej z grobowca starej, żeliwnej wanny w moim poprzednim mieszkaniu, jeszcze bardziej zapuszczonym i podłym, choć Bóg mi świadkiem, trudno byłoby znaleźć łośnie niż to, które zajmowałem obecnie. Przynajmniej nie musiałem się przejmować, że podczas którejś z imprez goście zrobią mi bałagan.

To podczas jednej z takich imprez odkryliśmy Nibydzurę i kiedy o tym teraz myślę, dochodzę do wniosku, że nie stało się to przypadkiem, lecz jak najbardziej celowo. Był w tym wszystkim jakiś sekretny sens i dopiero dziś pojmuję w pełni, co znaczy zwrot „szukać kłopotów”. Czy mówiłem o bałaganie w mieszkaniu? Panował zwłaszcza tej nocy; wszędzie było brudno, kałuże rozlanego piwa i góry wysypanych z popielniczek petów, a na zasłonce dziwna, żółta, łuszcząca się plama jak po serze, na którą nawet po pijanemu, a byłem wtedy ostro napruty, nie byłem w stanie patrzeć. Zostaliśmy tylko ja, Nakota i pewna dziewczyna, której imienia nie znam do dziś, siedząca z otwartymi szeroko ustami, jak trup, choć mimo wszystko żywa, ze skórą dziwnej, nieokreślonej barwy i sterczącymi na wszystkie strony, postawionymi na żel włosami, jakby mimo pijackiej senności i odrętwienia była gotowa do dalszej zabawy.

— Zostało jeszcze piwo? — prawie nie byłem w stanie mówić, ale jeszcze bełkotałem i — o tak — czułem się WYŚMIENICIE. Nakota, wciągając jakąś dziwną miksturę, którą dostała od faceta w Southfield, jej nozdrza na obwódkach przybrały niepokojąco różową barwę, pokręciła głową, dając do zrozumienia, że w przeciwieństwie do niej nie mam już swej ulubionej używki.

Nie potrafię dziś powiedzieć, jak dotarliśmy na korytarz pierwszego piętra, ale pamiętam panującą tam wilgotną piwniczną woń i fetor; jak już z pewnością zauważyliście, mam doskonały węch. To Nakota otworzyła drzwi, pamiętam doskonale, to i jej dłoń, kiedy wciągnęła mnie do środka. Instykt teriera wężącego Wielkie Kłopoty, tak teraz o tym myślę, a wtedy? Kto wie, może miałem nadzieję na szybki numerek czy coś w tym rodzaju. Szczęściarz.

W środku panowała ciemność, a ja byłem tak pijany, że omal nie upadłem — wyobrażacie sobie? — o mało na to nie wpadłem, a może o mało W TO nie wpadłem; Nakota złapała mnie za rękaw, rozrywając koszulę przy mankiecie. Jej głos, nieomal warkot: — Spójrz! — pokazuje mi. — Spójrz na to!

Ot tak po prostu, ni mniej ni więcej, staliśmy tam tak długo, że zacząłem już wierzyć, iż mam halucynacje dotyczące nie tylko Nibydzury, ale wszystkiego dokoła, takie to było dziwne. Surowy mrok pomieszczenia, pogniecione pudła proszków i sterty szmat do podłogi, oddech Nakoty jak turkot pędzącego pociągu, i to, to dziwne coś przede mną, wyraźnie widoczne, choć nie wierzyłem własnym oczom. Zawsze wydawało ci się, że byłoby fajnie, gdybyś któregoś dnia trafił do strefy mroku. Zapomnij. To stek bzdur.

— Cholera — szepnęła Nakota.

Nie pamiętam powrotu do mieszkania, nie pamiętam nic, choć teraz bardzo bym chciał. Przebudzenie, gwałtowne parcie na pęcherz i odruch wymiotny, na szczęście udało mi się zrobić to oddzielnie; w drodze do łazienki zwracam uwagę, że śnięta dziewczyna z włosami na żel zniknęła, a Nakota czuwa, siedzi nieopodal, zapewne w ogóle się nie kładła. Nie chciało się jej spać. Kiwnęła do mnie raz,



kiedy mijałem ją powłócząc nogami, i ponownie, gdy wolniej i z większym wysiłkiem wracałem do pokoju.

— Chodźmy — odezwała się po raz pierwszy — obejrzymy to.

Naturalnie miała dla tego nazwę, w tym była najlepsza. Nazwała to i zawłaszczyła, choć bynajmniej nie zamierzałem spierać się z nią o prawa do tego czegoś. Prawdę mówiąc, bałem się tego, rzecz jasna nie aż tak jak teraz, ale całkiem solidnie, jak każdy normalny człowiek w podobnej sytuacji.

— Kto wie, co to może być, do cholery — dyskusja przy kawie rozpuszczalnej (ja) i mineralnej bez gazu (ona). Mieszkanie cuchnęło dymem, spieraliśmy się, spokojnie ale ostro, od dobrych paru godzin. Nie kwestionowaliśmy tego nawet wtedy, nic, zero wątpliwości, jedynie narodziny niezgodności i odmienności poglądów. Jak bowiem którekolwiek z nas mogło zaprzeczać istnieniu tego spokojnego, czarnego faktu, widniejącego na podłodze starego, nie używanego od dawna, zapuszczonego składziku w starej, zapuszczonej kamienicy, przy ulicy, którą nigdy nie zainteresuje się żaden developer? Nie ma w tym nic romantycznego, przynajmniej dla mnie, czy można mówić o romantyczności i miłości, gdy jest się na równi pochyłej?

Spekulacje, jasna sprawa. Skąd to się wzięło — pierwsze, pełne przejęcia i pasji pytanie Nakoty — i dokąd prowadziło?

— Gdybyś zszedł tam na dół — jej oczy błyszczały.

— Gdybyś ZESZŁA tam na dół.

— O TAK.

— Tego się właśnie obawiam.

A wy byście się nie bali?

Czy ktoś ją tam jakoś umieścił? Zaoponowała ostro, i chcąc nie chcąc, musiałem przyznać jej rację; to coś

nie było niczym wytworem, nic z tych rzeczy. Czy może to coś rozrosło się tam samo? Chętnie przychyliła się do tej teorii i zanim zdążyłem powiedzieć tak lub nie, zaczęła ją rozwijać; jakie dziwne nasienie — raz po raz powracała do tej idei — mogło dać początek czemuś tak niezwykłemu?

— To żyje. — Złowieszczy uśmieszek.

— Nie. Nieprawda — wiedziałem, że oboje się mylimy, choć nie potrafiłem powiedzieć, pod jakim względem. — To nawet nie jest to, Nakota, to jest... to jest...

— Czym? Miejscem? Stanem? — Szyderczy śmiech przeszywający jak posępne łypnięcie kościotrupa, papieros zwisa z kącika jej cienkich ust, czarny na tle jej ziemistoszarej skóry. — Wiesz o tym tyle samo co ja.

Miała rację, choć oboje robiliśmy co w naszej mocy, aby poznać prawdę. Dziwne, że nigdy nie chodziłem tam bez niej, nie próbowałem zbadać tego sam. Czy się bałem? Oczywiście, ale z innych powodów niż sądzicie.

Ona była pierwsza, od samego początku, ja zawsze stałem nieco z tyłu, to ona wpadła na pomysł, aby przynieść latarkę (nic to nie dało) i by wrzucić coś do środka (Kawałek asfaltu przyniesiony z parkingu, nie za duży i nie za mały; nie wywołało to żadnego odgłosu, nawet najmniejszego dźwięku, wyobrażacie sobie, jakie to było straszne? Wręcz upiorne!). Pustą szklankę — też nic, tyle że szkło było nagrzane, gdy wciągnęliśmy je z powrotem, gruby sznurek, na którym ją zawiesiliśmy, także był ciepły. Aparat fotograficzny, mój jedyny pomysł, nigdy go jednak nie zrealizowaliśmy, nie wiedzieliśmy, jak mielibyśmy go TAM włączyć, a nie stać nas było na taki z samowyzwalaczem. Kartkę papieru, to jej pomysł (a powinien być mój, ale ze mnie poeta, co?), i nadal nic.

Rozmawialiśmy o tym bez końca, snując coraz bardziej śmiało i barwne teorie, ona — oczy zmrużone w szparki, dłonie zaciśnięte wojowniczo w pięści — i ja, pełen wahań,

z piwem w rękę, budujący płoty, przez które miała przeskakiwać.

Tak jak dziś, teraz, telefon, w słuchawce którego słycać to irytujące, ciche brzęczenie. — Video Hut, czym mogę służyć?

— Hej, Nicholas. — Przez telefon wydawała się chłodniejsza niż normalnie, ale dla niej to była NORMA, tak brzmiał przez telefon jej głos, byłaby świetnym inkwizytorem. — Wpadnę do ciebie dziś wieczorem.

— Taa? — Nie zamierzała mnie odwiedzić, by cieszyć się moją obecnością, co dało mi prawo do podworowania sobie z niej, choćby tylko trochę, dla zabawy. — Zamierzałem wyjść. Może jutro.

— Przyjdę zaraz po pracy.

I przyszła, wciąż mając na sobie strój barmanki, w którym wyglądała lepiej niż w swoich prywatnych ciuchach, tu przynajmniej wszystko było jednolicie czarne. Przyniosła coś w średniej wielkości papierowej torbie. Wyglądało, że to coś ciężkiego. Na ten widok trochę się zdenerwowałem, nie wiem czemu, ale w przypadku Nakoty nigdy nie było nic pewnego, nie mogłeś się spodziewać z jej strony najmniejszego nawet ostrzeżenia.

— Co to takiego? — zapytałem.

— Zobaczysz. Jesteś gotów? — Ona była. Energia i niepokój wyczekiwania wręcz ją roznosiły i to denerwowało mnie jeszcze bardziej. Ja jednak jestem głupi. Pozwalam sobą manipulować.

— To chodźmy — rzuciłem.

Ostrożnie i cicho jak zawsze, mimo to dziwiło mnie, że nikt nas nigdy nie zauważył ani że my nigdy nikogo nie spotkaliśmy. Może wszyscy w budynku znali nasz mały sekret. O tego typu rzeczach nie mówi się głośno, w każdym razie żadne z nas nigdy nie rozmawiało o TYM z innymi, nie znałem, nawet z widzenia, połowy moich

sąsiadów, jedynie tych, którzy mieszkali najbliżej albo byli wyjątkowo nieznośni. Jak to w życiu.

Kiedy weszliśmy do pomieszczenia, Nakota zrobiła coś dziwnego, zaczęła szukać zamka w drzwiach i zdziwiła się, nie odnalazwszy nawet zasuwki. Ostrożnie postawiła torbę na podłodze.

— Co ty kombinujesz? — zapytałem, stając nieco dalej niż zwykle. — Chcesz mnie związać i wrzucić do środka?

Wydawała się nieomal zmartwiona, że sama nie wpadła na ten pomysł.

— To niegłupie, ale wymyśliłam coś innego. To eksperyment — sięgnęła po torbę. — Coś, czego wcześniej nie próbowaliśmy.

Wyjęła wielki, galonowy słoje po ogórkach, pełen owadów.

Były najróżniejsze, muchy, karaluchy, chrabąszcze i komary, nawet kilka ważek. Na swój sposób było to piękne i odrażające zarazem. — Dlaczego nie zjadają się nawzajem? — spytałem i uświadomiłem sobie, że szepczę.

Nakota również zaszepiała: — Spryskałam je takim tam gównem — po czym, nie zadając sobie trudu, by wyjaśnić bliżej, o co jej chodziło, podsunęła słoje aż na sam skraj Nibydziury, dalej niż kiedykolwiek odważyliśmy się sięgnąć.

— I co teraz?

— Zaczekamy przez chwilę. — Głos drżał jej z podniecenia. — Zobaczmy, co się wydarzy.

Czekaliśmy dość długo w ciemnościach, ja oparty plecami o drzwi, Nakota po raz pierwszy tuż obok mnie. Jej zapach przybrał na sile, oddech ani na chwilę nie zwalniał, próbowała zapalić, ale powiedziałem, by tego nie robiła, nie tu, w tej ciasnej klitce, pułapce pożarowej, wyszeptałem to z takim zdecydowaniem i determinacją, że usłuchała. Owady miały się w górę i w dół, walcząc z niewidzialną barierą.

— Spójrz — jej ostry szept, ale ja już patrzyłem, gapilem się, obserwowałem owady, które jeden po drugim zaczęły spadać martwe na dno słoika, by wijąc się w lekkich, konwulsyjnych skurczach ulec — Boże, o Boże — PRZEMIANIE, zaczęły wyrastać im dodatkowe pary skrzydeł i jedna, a czasem nawet dwie głowy, ich barwy zmieniały się, stawały się nierzeczywiste, niesamowite. Nakota dyszała jak silnik parowy, zionęła mi ciepłym powietrzem prosto w ucho, słyszałem ten ochryply dźwięk, czułem gorące, przesycone wonią papierosowego dymu tchnienie, widziałem, jak karaluchowi wyrastają kolejne, wielkie jak u pająka odnóza, jak jedna z wążek pęka na pół, stając się czymś innym, istotą niepodobną i zapewne nie będącą żadnym ze znanych nauce owadów.

W końcu wszystkie były martwe i pozostały martwe przez długi czas, a może tylko mnie czas ten tak bardzo się dłużył. Zebrałem się na odwagę, by sięgnąć po słoje, ale Nakota powstrzymała mnie w ostatniej chwili — jakież instynkt jej to podpowiedział?

— Zaczekaj — odezwała się oschle, kładąc dłoń na moim ramieniu.

I nagle owady zerwały się w górę, uwiecznione za szkłem, konwulsyjna eksplozja skrzydeł, nóg, lśniących ciał i martwych barw, zbitych razem jak owocowa pulpa w sokowirówce, wirująca coraz szybciej i szybciej, obracająca się tak energicznie, że słoje przewrócił się na podłogę i jał kręcić się wkoło w szaleńczym pędzie, aż w końcu, wykonawszy ostatni obrót, znieruchomiał zupełnie. Opadła mi szczęka. Miałem trudności z zamknięciem ust.

— Teraz — rzekła Nakota.

Nie chciałem dotknąć tego słoika.

Był gorący, błyskawicznie cofnąłem rękę, a potem ostrożnie, dłonią owiniętą w skrawek podkoszulka,

odkręciłem pokrywkę. Samo patrzenie sprawiało mi ból, to było odrażające, musiałem, chcąc nie chcąc, odwrócić wzrok. Nakota delikatnie wzięła ode mnie słoik, położyła go sobie na podółku i ku memu zde gustowaniu zaczęła wyjmować jego zawartość.

— Nakota...

— Zamknij się. — I nieco łagodniej: — Popatrz tylko.

— Nie. — Usiadłem na podłodze, oparłem głowę o drzwi i zmrużyłem powieki, podczas gdy ona kontynuowała przyprawiającą o mdłości autopsję, mamrocząc pod nosem ze zdumieniem. Wreszcie usłyszałem szcęk zakręcanej pokrywki i poczułem dłoń Nakoty na ramieniu.

— Nicholas. Spójrz. To nie takie straszne.

— Nie chcę. — Ale oczywiście chciałem.

Rzeczywiście nie było to takie straszne, jeśli się miało dostatecznie wytrzymały żołądek. Wybrała najlepsze kawałki, powiedziałbym, że chyba również najdziwniejsze: najmniejsze główki na zaopatrzonych w dwa stawy szyjach, małe skrzydła łączone po cztery, na wpół nienaruszone truchło karalucha z długimi, pajęczymi odnóżami. Jej trofea, wyłuskane z podziemnego świata, rozłożone dumnie na zakurzonej podłodze. Uśmiechając się, dotknęła mego ramienia.

— Czyż nie są piękne?

— Nie — odparłem. I nie były, w każdym razie nie dla mnie. Nie miałem ochoty ich dotknąć, ale zrobiłem to. Aby sprawić jej przyjemność. Tak. Wiem, to głupi powód. Całkiem możliwe, że w ogóle jej na mnie nie zależało.

Wziąłem do ręki najmniej odrażające, poczwórne, przywodzące na myśl czterolistną koniczynę skrzydła pokryte trawionymi, ukośnie nachylonymi znakami w języku, którego nigdy nie miałem szans zgłębić. I nagle nabrałem przerażającej chęci, by pożreć te skrzydła, włożyć je do ust, zmiażdżyć ich odmienioną słodyczą. Odepchnąłem

je od siebie, wyciągając dłonie w stronę Nakoty, skrzydła delikatnie, miękko upadły na podłogę.

— Spokojnie — gniewny głos, dłoń starannie podnosząca odrzucone skrzydła. — Potrzeba mi torby albo czegoś w tym rodzaju — dodała po chwili.

Przez całą drogę na górę zwalczałem w sobie uporczywą wizję zmutowanych ciał wirujących w szalejącym wirze ślepego huraganu, wróciłem z plastikową torebką po chlebie, z napisem „Nature’s Wheat”.

Wypełniła go swymi trofeami, z pieczołowitością badacza dysponującego nad wyraz cennymi okazami, po czym równie starannie zawiązała torbę na supeł.

— No więc — nie chciałem nań spojrzeć, toteż tylko skinąłem głową w stronę słoja wypełnionego groteskowo-upiorną zawartością — co zamierzasz z tym zrobić?

Wzruszyła ramionami. — Chyba wyrzucę.

— Do śmietnika?

— Czemu nie?

Czemu nie? Uparłem się, by włożyła słój z powrotem do papierowej torby, chciałem, aby to ona go niosła, ale wiedziałem, że tego nie zrobi. Ostrożnie po schodach, na dół, trzymając torbę jak najdalej od ciała.

— Nigdy dotąd — mruknąłem półgłosem — nie miałem pojęcia, co znaczy słowo „makabryczne”.

— To nie jest takie straszne.

W śmietniku leżało mnóstwo śmieci. Zmartwiony stanąłem na kiwającym się zderzaku czarnej, podrdzewiałej toyoty, przekładając stertę ohydnych, lepkich w dotyku, pękatych worków, aby móc możliwie jak najlepiej ukryć wśród nich papierową torbę. Zażartowałem nawet w pewnej chwili, że czuję się, jakbym pozbywał się trupa. Odwróciłem się. Nikogo. Suka. Wzięła swoje robale i poszła do domu. Toyota zaskrzypiała, zeskokczyłem na chodnik,

wróciłem na górę. Nie było mowy, abym cokolwiek przełknął, nic z tego, a kiedy zasnąłem, niemal do świtu nawiedzały mnie koszmary o bólu i złowrogiej zemście małych, przepełnionych nienawiścią istot, i choć rozpaczliwie wymachiwałem rękami, one zawsze znajdowały sposób, aby się do mnie zbliżyć.

Wcześniej, gorąco i niewiarygodnie tłoczno, przy moim szczęściu osoba, która opiera się brzuchem o mój tyłek, nie jest Nakotą, otwarcie galerii Inkub, kilkoro jej przyjaciół wystawia spektakl. Tworzenie w metalu, wszystko wygląda jak ukrzyżowani kłowni.

— Oni robią szmal na tym szajsie?

— Ty sprzedawałaś swoje wiersze — zasyczała Nakota w odpowiedzi, wrednie, choć nie do końca tak było, moje wiersze zostały wydrukowane, moje okropne amerykańskie haiku, ale nikt nie dał mi za nie złamanego grosza. Czy gdyby było inaczej, pracowałbym w Video Hut? Chyba z góry skazany byłem na przegraną i zasłużyłem na to — cóż robiłem, mając przed sobą tę wielką czarną inspirację, jaką była Nibydzura? Nic.

Przez całe otwarcie, popijając tanie, kiepskie wino z plastikowych, cuchnących stęchlizną kubków, Nakota trzymała jedną rękę w kieszeni kurtki — można było dojrzeć, jak delikatnie poruszała palcami, rozmawiając. Miała je przy sobie — wyszeptała mi to — owady w nowej, grubej, plastikowej torebce, jej oczy lśniły, nosiła podkoszulek z napisem z rozbryźniętych, jakby krwawych liter — „MRÓWCZA FERMA”. — To taki żart — rzekła, pieścotliwie klepiąc się po cyckach.

— Przestań zabawiać się ze sobą — mruknąłem. — To nie jest tego warte.

Kiedy skończyło się wino, namówiłem ją, abyśmy wyszli. Nie chciała, ale bardzo pragnęła pokazać mi owady. Pojechaliśmy do kafejki, mieszczącej się nieopodal Klubu



22, później musiała iść do pracy, usiedliśmy przy pomarańczowym stoliku z laminatu i piliśmy kawę, jeszcze podlejszą niż wino, jej chude, długie nogi drżały w owadzim tańcu. Próbowałem o tym nie myśleć.

— Pismo runiczne — powiedziała.

— Pismo runiczne, akurat. Co chcesz przez to powiedzieć?

— Mówię poważnie. Uważam, że to jakaś odmiana języka.

Miałem podobne zdanie na ten temat, ale wkurzyłem się, słysząc jej opinię, i chyba się zdenerwowałem. Słowa Nakoty zabierały mnie do miejsc, których nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewałem się odwiedzić, ale to nie były dobre miejsca.

— Naczytałaś się „Skandali” — rzekłem, wpatrując się w dno swojej filiżanki. — „Martwa kobieta urodziła dziecko” i takie tam bzdety.

Jakby chroniąc coś wyjątkowo kruchego i delikatnego, świeży plastik rozchyła się powoli, ukazując mi ostatnich milusińskich. — Daj spokój, nie tutaj — mówię. Zignorowała mnie i znów, mimo woli, spojrzałem. Tym razem dostrzegłem piękno, jeśli może istnieć ono w śmierci, w małych osobliwych truchęłkach, których nie chciałem dotknąć.

— Nie widzisz tego? Popatrz — jej obgryziony, szeroki paznokieć o włos od jednego ze skrzydeł, wskazuje widniejące na jego powierzchni znaki.

— Spójrz na to.

— Dla mnie to greka — odparłem lodowato, cynicznie i z rozmysłem, prostując się i opierając plecami o ścianę. — Może do tego trzeba być obłąkanym — ale ten komentarz nic mi nie dał, a po części spodobało mi się, gdy znów dostrzegłem w niej ów szczególny blask, lśnienie jakby makijażu, którego nigdy nie robiła, jej dłonie, delikatne,

matczyne, gdy chowała swój skarb, a potem ujęła w nie filiżankę z kawą.

— Zastanawiałam się nad myszą — powiedziała.

Z początku nie zrozumiałem, a kiedy to nastąpiło, zrobiło mi się niedobrze.

— Daj spokój — rzekłem, odsuwając filiżankę. — Czy owady ci nie wystarczyły? I tak były okropne. Wręcz obrzydliwe. Mało ci makabry?

— Co ty, z TOZ-u jesteś czy jak? Nicholas, przecież to tylko pieprzona mysz.

Mówiła poważnie. Była jak szalony naukowiec. I jakaś częśćka mnie również zastanawiała się z mrocznym, makabrycznym zacie kawieniem, co mogłoby się wydarzyć, gdyby spuścić w głąb tej ziejącej czerni jedno z tych małych futrzastych zwierzątek, jak by wyglądało, gdyby przeżyło tę podróż, uważaj na pierwszy krok, żeby się nie potknąć, to wielki krok dla... itepe, itede. Wyszedłem z kafejki i usiadłem w samochodzie, podczas gdy ona dopijała powoli kawę i robiła to naprawdę niespiesznie, możecie być pewni, ale nie skarżyłem się, nie powiedziałem jej choćby jednego przykrego słowa, dopóki nie zatrzymała auta przed Klubem 22, cichy pomruk silnika pracującego na jałowym biegu, chaotyczne bębnienie deszczu o szybę i ciche dźwięki reggae płynące z radia.

— Daj spokój, Nakota — i dotknąłem jej, co ostatnimi czasy robiłem bardzo rzadko, moje palce muskające jej nadgarstek równie delikatnie jak jej, gdy dotykała owadów. — Przecież wcale nie chcesz tego zrobić, prawda? Prawda?

Obrót na siedzeniu, włosy falujące w ruchu, usta wąskie, drobne, bardziej zacięte niż kiedykolwiek. — Jesteś taki głupi, Nicholasie. Zawsze będziesz głupcem. Wiesz dlaczego? Chcesz wiedzieć, dlaczego zawsze będziesz głupcem? Bo boisz się być kimkolwiek innym. —

Nie trzasnęła drzwiami, to nie było w jej stylu, ale odjechałem, tak jakby to zrobiła.

Zero telefonów przez dwa, trzy dni. Świetnie. Mogę dokonać żywota, nie dowiadując się, co się dzieje z myszą, kiedy zwierzątku zajrzy w oczy śmierć, zwłaszcza tak osobliwa śmierć, ale jej słowa zraniły mnie do żywego, drażniły jak wbita pod skórę drzazga. Tchórzostwo.

Nie zgrywaj kretyńskiego macho, powiedziałem sobie i faktycznie tak właśnie myślałem, lecz to nie tyle jej zjadliwe słowa o moim tchórzostwie tak mi dopiekły, co raczej sugestia, że Nakota mogła być — i to wydawało się absurdalne — intelektualnie odważniejsza ode mnie, że miała w sobie dość ikry, aby pokonać tę niewyznaczoną, wyimaginowaną granicę, wyrócić na nice to, co się za nią znajdowało, i wykorzystać, na ile to było możliwe, podczas gdy ja bałem się nawet do niej zbliżyć. Może chodziło po prostu o to, kto jest lepszym facetem, wolę myśleć, że jestem w tej kwestii mądrzejszy, ale może się myłę. Przynajmniej moja własna głupota nie jest mnie już w stanie bardziej zaskoczyć.

Głupotą było za nią tęsknić, choć przyznaję, że mi jej brakowało, i nie tylko nie czułem się źle z tej przyczyny, lecz w pewnym sensie uważałem to uczucie za usprawiedliwione; była niczym bolesna zadra, nikt tak jak ona nie potrafił zająć mi za skórę, władczo, bezwzględnie i nie bacząc na moje obiekcje, ale poniekąd była również moją partnerką w całym tym bałaganie, siedziała w tym od samego początku, WIEDZIAŁA.

Przede wszystkim zaś była Nakotą, a to, podobnie jak sama Nibydzura, było absolutnie niezmiennie.

Zgadnijcie, kto do kogo zadzwonił.

— Mogę przyjąć nawet zaraz — powiedziała, a ja na swoje usprawiedliwienie stwierdziłem, że w jej głosie nie pobrzmiwała nuta triumfu. Kiedy się zjawiała,

zrozumiałem dlaczego: pudełko w jej dłoni, ciche drapanie i szuranie dobiegające ze środka, odgłos przerażonych małych łapek.

Moja twarz przybrała wyraz obrzydzenia, ale czy malowało się na niej zdumienie? Nie. Absolutnie. Ona również to zauważyła. Postawiła pudełko na kuchennym stole, przeszła przez pokój, aby usiąść, i przycupnąwszy na skraju tapczanu, zapaliła papierosa.

— No, dalej, powiedz to — rzuciła. — Ty też chciałbyś wiedzieć.

— Taa, podobnie jak chciałbym wiedzieć, jak będę wyglądał po śmierci, ale jakoś mi do tego niespieszno. Na miłość boską, Nakota! Co będzie następne? Dziecko?

— Gówniany mały szczur ze sklepu zoologicznego raczej nie jest istotą ludzką — w tych słowach było coś, co mi się nie spodobało, może jawny niesmak, a może wyraźne przeszarżowanie. Chyba ona także to zrozumiała, uświadomiła sobie swoją własną chciwość, z której istnienia wcześniej nie zdawała sobie sprawy. Tak czy inaczej odwróciła się, profil ukryty pod kaskadą czystych, gęstych włosów, i nagle zgoła nielogicznie naszło mnie pewne wspomnienie — ona, w moich ramionach, w lodowato zimnej sypialni, czerwony, pikowany śpiwór, pod którym leżymy, ja sam, przysypiający i żujący leniwie koniuszek kosmyka jej włosów spoczywającego na mojej twarzy. Uniosłem dłoń w obronnym lub przesłaniającym geście, nie chciałem jej zobaczyć, nie w tej chwili, kiedy wreszcie spojrzałem, stwierdziłem, że na mnie patrzy.

— Nie musisz iść ze mną — rzekła.

Czy trzeba mnie było prosić?

Przykucam obok niej, nienawidząc własnego podniecenia, jej palce, tępe i nieruchome, gdy zawiązywała węzły na wykonanej z żyłki wędkarskiej uprząży, którą założyła na chude ciało myszy, pamiętam, że powiedziałem

coś nerwowym, kretyńskim szeptem, chyba: — Dobra robota — albo coś w tym rodzaju, a ona spojrzała na mnie ze śmiertelną powagą i rzekła: — Zawsze mam wszystko dopięte na ostatni guzik. — Mysz poruszająca nerwowo noskiem popiskiwała z przerażeniem, odgłosy osiągnęły *crescendo*, kiedy Nakota opuściła ją nad czeluścią Nibydziury, dla myszy musiała ona wyglądać jak Armageddon, głębsza niż sama śmierć, grzbiet zwierzątka wygiął się w spazmatycznym skurczu tak potężnie, iż wydawało mi się, że uprząż lada moment pęknie, a mysz runie w głąb niezbadanej otchłani, ku nieznannej śmierci, jednak dzieło Nakoty okazało się lepsze niż przypuszczałem i żyłka wytrzymała.

— Teraz — powiedziała.

Spojrzałem wtedy, nie na wiszącą w powietrzu mysz, ale na nią, tak blisko krawędzi, powolny, niewzruszony ruch jej ręki, spokojny wzrok, kiedy obserwowała proces zbliżający się do kresu, ale dostrzegłem w niej również frustrację, niezadowolenie, zimne niespełnienie, które nie wygaśnie, dopóki Nakota sama nie odbędzie tej podróży — nie stanie się to jednak, póki ja żyję. Kiedy mysz zaczęła opadać coraz niżej, przeniosłem na nią wzrok, jej biel odcinała się wyraźnie na tle niezgłębionej czerni Nibydziury, pazurkami szukała oparcia w czymś, w czym nie miała szansy go znaleźć, i pomyślałem, że teraz stanie się coś złego, coś o wiele gorszego niż z owadami.

Ale nic się nie wydarzyło. Mysz opadała coraz niżej, coraz głębiej, aż prawie nie było jej widać, nawet barwnej plamy, Nakota, nie odwracając głowy, powiedziała: — Może miałeś...

I wtedy kaskada sierści i rozbryźniętych płynów chlusnęła jej prosto w twarz, krzyknęła, uczyniła gest, jakby chciała otrzeć oczy i policzki z kalającej je brei, a ja zobaczyłem, że ugięły się pod nią kolana, blisko,

tak niebezpiecznie blisko krawędzi, schwyciłem ją i odciągnąłem w bok, podczas gdy z wnętrza Nibydziury buchnęła struga słodkiego powietrza — taką woń mogło mieć powietrze w niebiosach. Byłem roztrzęsiony do tego stopnia, iż ledwie mogłem usiąść, ale mocno trzymałem Nakotę, bardzo mocno, tak mocno, że aż bolało.

— Au! — jęknęła i puściłem ją, a ona zaczęła się energicznie wycierać, używając do tego celu podkoszulka. Spojrzałem na jej piersi, jakbym widział je po raz pierwszy. Kiedy skończyła, podkoszulek był cały mokry i lepki. Wplotła palce we włosy i zaczęła je rozczesywać, po czym lekko pokręciła głową i na podłogę coś spadło, coś, co miała we włosach, kawałek ciała.

— Pięknie, kurwa, pięknie — mruknęła i, rzecz niewiarygodna, wybuchnęła śmiechem, unosząc w górę ogon, a raczej jego fragment, ogon twardy jak kamień i w mozaikowych, nieziemskich barwach, pomachała nim, aby pokazać, jak bardzo się zmienił, ponownie potrząsnęła głową, po czym odnalazła mysią łapkę. Palce były spłaszczone i rozszczepione, pazury powiększyły się, stając się większe niż sama łapka, a na dodatek były niewiarygodnie poskręcane, wygięte i odrażające. Nakota znów zaśmiała się, a ja ujrzałem strzęp czegoś śliskiego i czerwonego przywierający do kącika jej ust, nadający jej wargom groteskowy kształt, a uśmiechowi makabryczny wyraz i przepęłznałem obok niej, odpychając ją od siebie równie mocno jak wcześniej trzymałem, aby znalazła się z dala, jak najdalej ode mnie.

Kiedy w końcu wyszła, siedziałem na podeście, w sporej odległości od drzwi. Nic nie mogłoby mnie zmusić do powrotu tam, chyba nie skłoniłby mnie do tego nawet jej krzyk, kto wie? Zapewne zresztą to, co wycisnęłoby z ust Nakoty przeraźliwy okrzyk, mnie wprowadziłoby w stan katatonii.